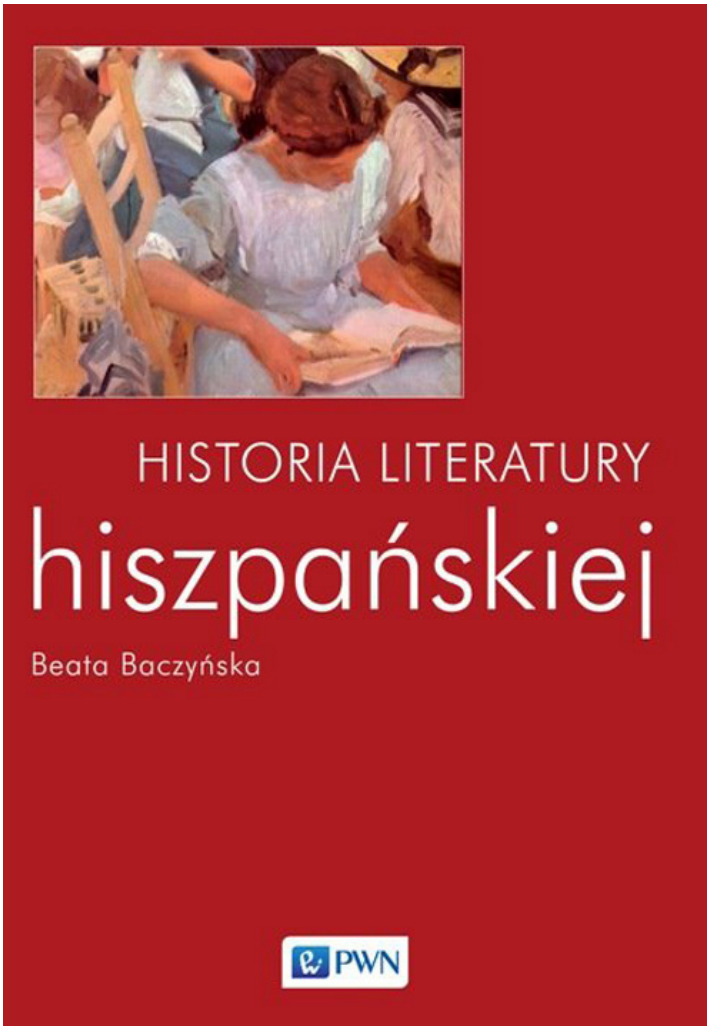
Historia literatury hiszpańskiej





prof. Beata Baczyńska

Beata Baczyńska

Kultura hiszpańska stała się w ostatnich latach bardzo żywo obecna w Polsce. Lawinowo rośnie liczba uczących się języka hiszpańskiego, coraz częściej na listach bestsellerów pojawiają się hiszpańskojęzyczni autorzy z Półwyspu Iberyjskiego, coraz większa liczba Polaków zna z autopsji Hiszpanię, jej fascynujące pejzaże i zabytki. W tych okolicznościach powstanie syntezy dziejów literatury hiszpańskiej, która pokaże jej związki z kulturą europejską i światową, rozjaśni uwikłanie w historię, pozwalając

dostrzec jej specyfikę na tle innych literatur w Europie, była naglącą koniecznością. Tym bardziej, że jedyna polska *Historia literatury hiszpańskiej* Marii Strzałkowej, określona w podtytule jako zarys (Wrocław 1966), ma niemal pięćdziesiąt lat (to opracowanie zostało wznowione w pierwszym tomie *Dziejów literatur europejskich* pod red. Władysława Floryana, Warszawa 1977), a dwutomowy podręcznik Ángela del Río w przekładzie Kazimierza Piekarca i Kaliny Wojciechowskiej (*Historia literatury hiszpańskiej*, Warszawa 1970 i 1972) powstał w 1948 roku (polskie tłumaczenie oparto o drugie poszerzone wydanie z 1963 roku).

Historia literatury hiszpańskiej pisana u progu drugiej dekady XXI wieku musi zakładać, że jej czytelnik szuka wszechstronnego i interdyscyplinarnego opisu zjawisk literackich, które układają się w dynamiczną całość, uwzględniającą nie tylko następstwo w czasie autorów i dzieł oraz charakterystykę gatunkową prezentowych utworów, lecz również usytuowanie literatury w życiu jednostki (twórcy i odbiorcy) oraz społeczności (władza i instytucje kultury; zmieniające się formy przekazu). Pojawiają się w niej wątki polskie, nawiązujące do historycznych i literackich kontaktów pomiędzy Polską i Hiszpanią, które od zawsze interesowała polskich romanistów i hispanistów (Edward Porębowicz, Józef Dzierżykraj-Morawski, Władysław Folkierski, Stefania Ciesielska-Borkowska, Maria Strzałkowa, Gabriela Makowiecka, Krystyna Niklewiczówna, Zofia Karczewska-

Markiewicz, Florian Śmieja, Teresa Eminowicz-Jaśkowska, Urszula Aszyk, Kazimierz Sabik, Eugeniusz Górski, Piotr Sawicki i in.). Na podobieństwo doświadczeń historycznych Polski i Hiszpanii zwrócił uwagę, jako pierwszy, Joachim Lelewel, pisząc *Historyczną paralelę Hiszpanii z Polską w wieku XVI, XVII i XVIII w.* (powst. 1820, wyd. 1831). Po roku 1989 chętnie porównywano proces przemian polityczno-społecznych, jakie zachodziły w Polsce, do okresu transformacji ustrojowej w Hiszpanii po 1975 roku. Tego typu paralele, jakkolwiek nie są wolne od uproszczeń, pomagają dostrzec istotę zjawisk zachodzących w historii, kulturze i literaturze Hiszpanii. Ważnym punktem odniesienia są także motywy i mity literackie (Cyd, don Juan, don Kichot), dzieła i twórcy hiszpańscy (Miguel de Cervantes, Lope de Vega, Pedro Calderón de la Barca, Miguel de Unamuno, José Ortega y Gasset, Federico García Lorca) należący do kanonu literatury światowej. Poświęcono im najwięcej uwagi, wchodząc w polemiczny dyskurs z utrwalonymi – często stereotypowymi – sądami. Hispanistyka jest bowiem obecnie jedną z prężniejszych dziedzin studiów filologicznych i kulturowych w skali światowej. To nowe opracowanie dziejów literatury hiszpańskiej – napisane dla polskich czytelników – odwołuje się do najnowszego stanu badań, uwzględniając szerokie spektrum zjawisk literackich w ich antropologicznym, historycznym, socjologicznym i kulturowym uwarunkowaniu.

Jeszcze jedno ważne uściślenie – prezentowana *Historia*

literatury hiszpańskiej skupia się na tekstach, które wpisują się w dziedzictwo języka hiszpańskiego, zwyczajowo i historycznie identyfikowanego z językiem kastylijskim. Problem sam w sobie stanowi literatura hiszpańskiego średniowiecza, składająca się na wyjątkową – kulturową i językową – mozaikę. Mieszkańcy Hiszpanii porozumiewali się (i porozumiewają nadal) również w innych językach – galisyjskim w Galicji, baskijskim w Kraju Basków, katalońskim w Katalonii, Walencji i na Balearach. Każdy z tych języków wykształcił własną kulturę i piśmiennictwo, wchodząc w relacje z literaturą powstającą w języku hiszpańskim, czyli „kastylijskim" (*castellano*). Ten zespół zjawisk odpowiada dynamice zestawienia pojęć centrum i peryferia, które na przestrzeni dziejów Hiszpanii przybierało różne formy. Debata dotycząca wyznaczników hiszpańskiej tożsamości narodowej lub składających się nań odrębnych tożsamości, tworzących wielokulturową i językową rzeczywistość Hiszpanii stanowi, począwszy od XIX wieku, wciąż żywy nurt hiszpańskiej refleksji. „Niekastylijskie", czyli literatury „mniejsze" Hiszpanii, w tym opracowaniu nie mogły zostać potraktowane w sposób wyczerpujący: kwestie związane z literaturą języka katalońskiego, galisyjskiego i baskijskiego przywoływane są wówczas, gdy wpisują się w główny nurt dziejów literatury hiszpańskiej.

Układ książki odpowiada chronologicznemu wykładowi historii literatury hiszpańskiej, który dla potrzeb tej syntezy został

poszerzony o przedstawienie głównych tendencji, jakie obserwujemy w literaturze najnowszej, ze szczególnym uwzględnieniem autorów cieszących się w Polsce popularnością. Najobszerniej nakreślono obraz literatury Złotego Wieku, a właściwie dwóch „złotych wieków", bo termin *Siglo de Oro* w hiszpańskiej historiografii obejmuje XVI i XVII wiek oraz *Edad de Plata*, czyli „srebrnej epoki" hiszpańskiej kultury, której granice zakreślają dwie traumatyczne daty – rok 1898 (utrata ostatnich kolonii zamorskich) i 1936 (wybuch wojny domowej). Te dwie epoki należą do najświetniejszych i najbardziej twórczych w dziejach kultury hiszpańskiej. Jako że ta synteza jest adresowana m.in. do studentów kierunków humanistycznych, dla których język hiszpański jest jednym z języków wykładowych, w tekście została uwzględniona oryginalna terminologia w odniesieniu do gatunków i form literackich nawet wówczas, gdy istnieją polskie ekwiwalenty (np. romans łotrzykowski / *novela picaresca*; romans pasterski / *novela pastoril*; romanca / *romance*). W przypadku tłumaczeń tytułów dzieł przyjęto jako zasadę, iż w nawiasie podany jest polski tytułu zapisany kursywą, jeśli dzieło zostało przetłumaczone na język polski, np. *Cantar de mio Cid* (*Pieśń o Cydzie*), którego przekład autorstwa Anny Ludwiki Czerny ukazał się w Krakowie w 1970 roku, czy Jorge Manrique *Coplas que fizo por la muerte de su padre* (*Strofy na śmierć ojca*); ten drugi utwór przytoczony został w przekładzie Zygmunta Wojskiego, który wyraził zgodę na ogłoszenie fragmentów niepublikowanego jeszcze tłumaczenia tego

poematu, jednego z arcydzieł późnego średniowiecza w Hiszpanii. Tytuły podane w wersji polskiej bez kursywy odnoszą się do dzieł, które nie zostały przetłumaczone na język polski, np. Antonio Muñoz Molina *Todo lo que era sólido* (Wszystko to, co było trwałe, 2013). Cytowane w tekście tłumaczenia, o ile nie podano inaczej, sporządzone zostały przez autorkę.

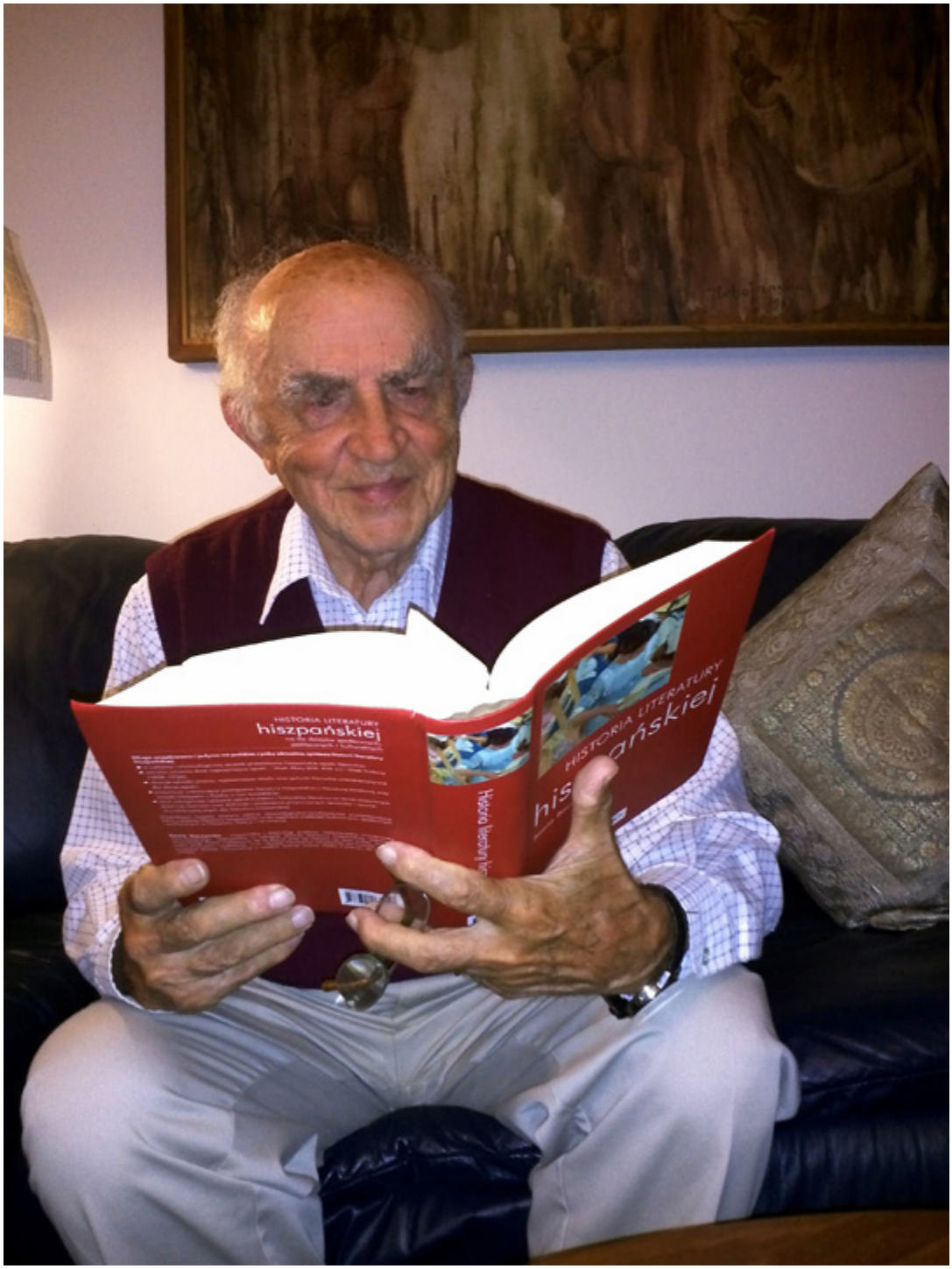
Książka przeznaczona jest dla wszystkich zainteresowanych fenomenem kultury hiszpańskiej, podejmuje wątki obecne w pracach coraz liczniejszego grona polskich hispanistów, działających w kraju i zagranicą. Intencją autorki jest bowiem przybliżenie nowego spojrzenia na kulturę Hiszpanii, uwolnienie jej od ciążących na jej obrazie stereotypów, tym bardziej, że jest to kraj, który – pomimo geograficznego oddalenia – postrzegany jest od dawna jako kulturowo i mentalnie bliski Polakom i Polsce. W dobie powszechnego dostępu do informacji i tekstów w formacie elektronicznym w portalach internetowych, na czele z wzorcową hiszpańskojęzyczną biblioteką wirtualną – *Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes* (www.cervantesvirtual.com), ta *Historia literatury hiszpańskiej* chciałaby stać się kompendium, które pozwoli zrozumieć długofalowe procesy, jakie determinowały i determinują wyjątkowy potencjał kulturowy literatury tworzonej w języku hiszpańskim na Półwyspie Iberyjskim. Tekst każdej części uzupełnia wybór bibliografii. Uwzględnione zostały w nim opracowania książkowe w języku polskim i hiszpańskim, a w uzasadnionych wypadkach również w

innych językach (angielskim, niemieckim, francuskim), oraz wydania polskich przekładów omawianych tekstów literackich (w wyborze). W części bibliograficznej – wzorem najnowszej, zaplanowanej na dziewięć tomów, historii literatury hiszpańskiej, która powstaje pod redakcją José-Carlosa Mainera (*Historia de la literatura española*, Barcelona 2010-) – umieszczone zostały również tematyczne portale, prowadzone przez zespoły badawcze w Hiszpanii.

Autorka dziękuje wszystkim – bliskim, przyjaciołom i kolegom, którzy wspierali ją w trakcie przedłużającej się pracy nad książką, w sposób szczególny prof. Florianowi Śmieji, nestorowi polskich hispanistów oraz Josepowi Antoniemu Ysern i Lagarda, tłumaczowi polskiej literatury na język kataloński, za uważną lekturę jej pierwszej redakcji i cenne wskazówki.

Wstęp do „Historii literatury hiszpańskiej”

Beata Baczyńska, „Historia literatury hiszpańskiej”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2014.



Prof. Florian Śmieja z książką swojej byłej doktorantki.

Profesor Beata Baczyńska odbierała kiedyś doktorat z rąk prof. Floriana Śmieji. Po latach, w 2015 r. wręczała doktorat honoris causa swojemu byłemu promotorowi. Na spotkaniu w Dolnośląskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu wspominała

swoje pierwsze spotkanie z profesorem Florianem Śmieją w 1989 roku w Madrycie:

> To był właściwie przypadek. Podczas konferencji na Uniwersytecie w Madrycie, po wykładzie prof. Gabrieli Makowieckiej rozmawiałyśmy po polsku i wtedy podszedł do nas prof. Śmieja. Znałam jego nazwisko z licznych publikacji – był legendarną postacią dla studentów hispanistyki w Polsce. Dla mnie był wówczas kimś mitycznym, niematerialnym, a tu nagle zobaczyłam człowieka z krwi i kości. Okazało się ponadto, że moje zainteresowania badawcze są bliskie panu Profesorowi i od niego właśnie dowiedziałam się, że rękopisy sztuk, które mnie interesują, znajdują się w Ossolineum. Przekazał mi swoje kwerendy.
>
> Na skutek zmian politycznych i dzięki prof. Sawickiemu udało się zaprosić Profesora na wykłady, które stały się regularne. Dzięki Niemu formacja moja i moich kolegów dała zupełnie inne, nowe owoce. (B. Lekarczyk-Cisek, Dotykanie świata w: „Spotkajmy się we Wrocławiu”, nr 1/34-2017).

Przemysław Kazimierz Chróściechowski – malakolog i poeta z Wenezueli



Mracay w Wenezueli, fot. pinterest.

Florian Śmieja

Losy polskich poetów na emigracji każą mi myśleć o wierszach Przemysława Kazimierza Chróściechowskiego, krakowianina urodzonego w 1921 r., który przez Rumunię i Francję trafił ze swoim oddziałem do internowania w Szwajcarii. Tam skończył studia agrarne. Po kilku latach w Anglii emigrował do Wenezueli. Stał się malakologiem i dał się poznać jako specjalista od słodkowodnych ślimaków. Po stażu w Caracas z całą sekcją przeniesiony został do miasta Maracay. Z początku odczuwał wyjazd na prowincję jako zsyłkę, ale po czasie powie, że już by nie wrócił do stolicy „z jej piekielnym ruchem, zatrutym powietrzem, napadami na ulicach, drożyzną…”.

Tam go odwiedziłem. Po wizycie u Beniamina Józefa Jennego w

Caracas, pojechałem z dr Eugeniuszem Gerulewiczem do Maracay. Po drodze od urwisów kupiliśmy świeżo zerwane pachnące mocno mango i dojechaliśmy do ładnego, nowego domku.

Samotnie wychowywał syna, którego urodziła mu Portorykanka, nim padła ofiarą katastrofy. Do pomocy miał kolumbijską służącą imieniem Ligia. Nie pamiętam już wiele z tych odwiedzin, poszliśmy do lasu oglądać orchidee, podziwiać wszędobylskie dydelfy i niebieskie motyle. Fascynowały mnie egzotyczne ssaki z długimi ryjkami, wąskoskrzydłe motyle, orchidee na drzewach i rumiane owoce mango.

Od dziecka czuł zamiłowanie do pisania. Pisząc namiętnie nie znalazł druha, drugiego człowieka, ani spolegliwej redakcji, którzy by wsparli jego wysiłki. Sam stał się superkrytyczny wobec twórczości, a nie przychodziła mu łatwo. Skarżył się:

> Niezliczone wieczory spędzone nad rozpaczliwie białą kartką wzywały nieraz do porzucenia tego głupiego nałogu.

Po nikłych sukcesach wydał w Londynie zbiór wierszy *Nietrwałe srebro snu* w Oficynie Poetów i Malarzy Bednarczyków. Na wieść o zamknięciu drukarni ironizował:

> Może za to nieliczne ocalałe egzemplarze osiągną kiedyś bajeczną cenę na bibliofilskim rynku?

Spytany o bieżącą twórczość odpisał, że pisze haiku i ma ich 200 bacząc bardzo na formę. Te sonety, haiku i tanka chciał wydać pod tytułem *Ślady na tropie*. Dodał, że jego pisanie cierpi na znaczne przerwy spowodowane przez zniechęcenie.

W Polsce ukazał się nieznany mi bliżej zbiór jego wierszy *Niecierpliwość dróg* w wydawnictwie Ad Oculos. Jej wydawca o wierszach pisze m.in.:

> Utwory te są także świadectwem umiejętności warsztatowych autora: od trenu, poprzez sonet, po akrostych. Uderza też skala podejmowanych tematów, rozmaitość nastrojów: z jednej strony poezja filozoficzno-refleksyjna – z drugiej wierszowana publicystyka.

Na list napisany w 2003 roku nie otrzymałem odpowiedzi. Już mnie wprawdzie we wcześniejszym liście ostrzegał:

> Jeżeli chirurg mnie dorżnie, to ten list będzie miał wartość dzieła pośmiertnego.



Od lewej: dr E. Gerulewicz, Florian Śmieja i Kazimierz Chróściechowski, fot. arch. Floriana Śmieji.

Olga Żeromska –

niestrudzona działaczka emigracji londyńskiej



Zjazd Związku Pisarzy Polskich w Londynie, w środku siedzący w szarym garniturze prof. Florian Śmieja, po jego prawej stronie Olga Żeromska, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

W Anglii do niedocenionych działaczy kulturalnych emigracji żołnierskiej, którzy z aktywności swej nie mieli korzyści materialnych, ani nie doczekali się honorowych laurek, była działaczka AK, Olga Żeromska, choreografka polskich tańców ludowych w Zespole Tańca im. Oskara Kolberga, założonego w Londynie w 1953 roku i autorka podręcznika. Była ponadto niezmordowaną entuzjastką i kierowniczką grupy aktorskiej „Pro Arte".

Poznałem ją jeszcze w pierwszych latach pięćdziesiątych. Odwiedzałem mieszkającego w tym samym domu kolegę z uniwersytetu w Irlandii Wojciecha Gniatczyńskiego i Janusza Poray Biernackiego, który pod pseudonimem Janusza Jasieńczyka wydał akurat powieść „Walter 4.65" i w całym mieszkaniu porozwieszane były rysunki pokazujące wyczyny protagonisty książki, Marka Kordy. Oleńka, zgromadziwszy wokół siebie grupę tańczącej młodzieży z kolei marzyła o widowiskach teatralnych i szukała stosownego dla niej repertuaru. Nie zadowoliła się istniejącą podażą, żądała tekstów nowych, współczesnych, a nie istniejące w języku polskim, starała się przełożyć, względnie zapędzić znajomych do przekładania, a potem je grała ze swoją trupą.

Wojciech Gniatczyński przetłumaczył dla niej sztukę irlandzkiego dramaturga Johna Millingtona Synge'a (1871-1909). Wiedząc o tym, że skończyłem filologię iberyjską, poprosiła mnie o przekład

ogromnie wówczas na całym świecie popularnego hiszpańskiego poety i dramaturga Federica Garcia Lorki. I tak powstała moja wersja „Przedziwnej szewcowej” *(La zapatera prodigiosa)*, dwuaktowej komedii o rezolutnej młódce z fantazją, którą wydano za starszego, poczciwego rzemieślnika.

Tę sztukę Żeromska wystawiła dwanaście razy w swoim teatrze, fundując polskiej widowni barwną espanioladę. Przed pokazem sztuki czytała wiersz Józefa Łobodowskiego „Elegia na Fryderyka Lorkę”. Sama przełożyła „Bal złodziei” modnego Jeana Anouilha. W programie anonsowała premiery „Marchołta” Romana Brandstaettera, Paula Claudela „Zwiastowanie”, Mikołaja z Wilkowiecka „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”, Juliusza Słowackiego „Złotą Czaszkę”, Stanisława Wyspiańskiego „Powrót Odysa”, a jako sztuki czytane George’a Bernanosa „Dialogi karmelitanek” i Witolda Gombrowicza „Ślub”.

Kiedy w drodze z Kanady do Polski w roku 1974 roku rozmawiałem z Oleńką, wspomniałem jej o festiwalu polonijnych zespołów w Rzeszowie, żachnęła się na słowo „polonijny”. W Anglii go nie używaliśmy, bo kojarzył się z kandydaturą na obcokrajowca, a my chcieliśmy wrócić do Polski, a nie robić żadnej kariery na Zachodzie. Na organizowane przez reżim imprezy emigranci nie reflektowali. Poziom osiągało się przez pracę, najczęściej darmową, ale za to bez pochlebstw, nie

rezygnując z suwerenności.

Bardzo się zainteresowała moim przekładem „Kołysanki” *(Canción de cuna)* Hiszpana Gregoria Martineza Sierry (1871-1941). Ta urocza dwuaktówka, aczkolwiek traktuje o wychowaniu dziewczynki przez zakonnice, którym została podrzucona, była grana z powodzeniem w prestiżowym teatrze paryskim Comédie Française. Wymagając licznej obsady żeńskiej grywana była chętnie w szkołach dla dziewcząt.

W miarę upływu lat słabło życie kulturalne emigracji londyńskiej. Coraz trudniej było wystawiać ambitne sztuki. Starzeli się artyści, wśród nowych nie było ochotników do pracy bezinteresownej.

Aczkolwiek Żeromska przyjęła przekład z entuzjazmem, nie zdołała z niego skorzystać. Ostatecznie, pomysł się zdezaktualizował. Maszynopis utknął u Żeromskiej, jak w różnych miejscach przepadły inne moje prace przekładowe.

Słowa
ze skradzionych chwil



Florian Śmieja z żoną Zofią, córką Anią i wnukiem w domu w Mississaudze w Kanadzie, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Był Pan przez wiele lat związany ze stolicą Wielkiej Brytanii i mocno osadzony w powojennym środowisku literackim tego miasta. Wielokrotnie pisał Pan o barwnej

atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

Florian Śmieja:

Po zakończeniu działań wojennych, byli żołnierze mieli bardzo dużo zapału i energii, stąd ten dynamiczny rozwój idealizmu. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których często nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia była wówczas krajem zamkniętym, z własną tradycją, robiącym trudności w asymilacji. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności, spotykania się, działania i to zwykle honorowo. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, przy niewielkich nakładach finansowych. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. Dlatego, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych, ówczesna londyńska Polonia miała tyle osiągnięć. Ludzie pisali wspomnienia, pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Takim przejawem aktywności kulturalnej z tamtego czasu, była grupa „Kontynenty", której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma.

FŚ: Po trzyletnich studiach w Irlandii w roku 1950 przyjechałem do Londynu do pracy u dr Jerzego Pietrkiewicza. Natychmiast też wszedłem w kontakt z absolwentami i studentami usiłującymi stworzyć pismo młodych, które zaczęło się od kolumny w tygodniku, a potem miesięczniku „Życie". W 1951 roku zostałem redaktorem „Życia Akademickiego" (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego „Życie"). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadawala. Wtedy „Życie Akademickie" przerodziło się w pismo „Merkuriusz Polski" i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w „Merkuriuszu" po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo „Kontynenty". Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w

Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk. I tak z biuletynu związkowego „Kontynenty" stały się z czasem pismem kulturalnym o ambicjach poetyckich. Współpracownicy zaczęli wydawać debiuty poetyckie i wyszły dwie antologie, jedna na Emigracji, a druga w Polsce. Aczkolwiek „Kontynnety" przestały wychodzić w 1966 roku, przetrwała ich legenda i znalazła oddźwięk na polskich uniwersytetach.

Teraz o „Kontynentach" dużo się mówi w Polsce, a na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie.

JSG: Jednym ze współtworzących „Kontynenty" był m.in. ksiądz profesor Janusz Ihnatowicz, laureat nagrody literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

FŚ: Cieszę się, że On i Jego mądre wiersze zostały w końcu dostrzeżone, gdyż wczesny wyjazd do Ameryki oddalił Go nieco od Londynu, głównego ośrodka emigracyjnych przetargów literackich. Dobrze też się stało, że zdążono uhonorować ogromnie pracowitego i zasłużonego dla teatru polskiego Bolesława Taborskiego (1927-2010).

JSG: Jak to się stało, że po 25 latach pobytu na Wyspach Brytyjskich przeniósł się Pan też do Londynu nad Tamizą, tylko że w Ontario?

FŚ: W moim życiu doświadczyłem wielu przypadkowości losu, jedną z nich była przeprowadzka z Wielkiej Brytanii do Kanady. Nie była to translacja ani zamierzona, ani nawet wyśniona. Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969.

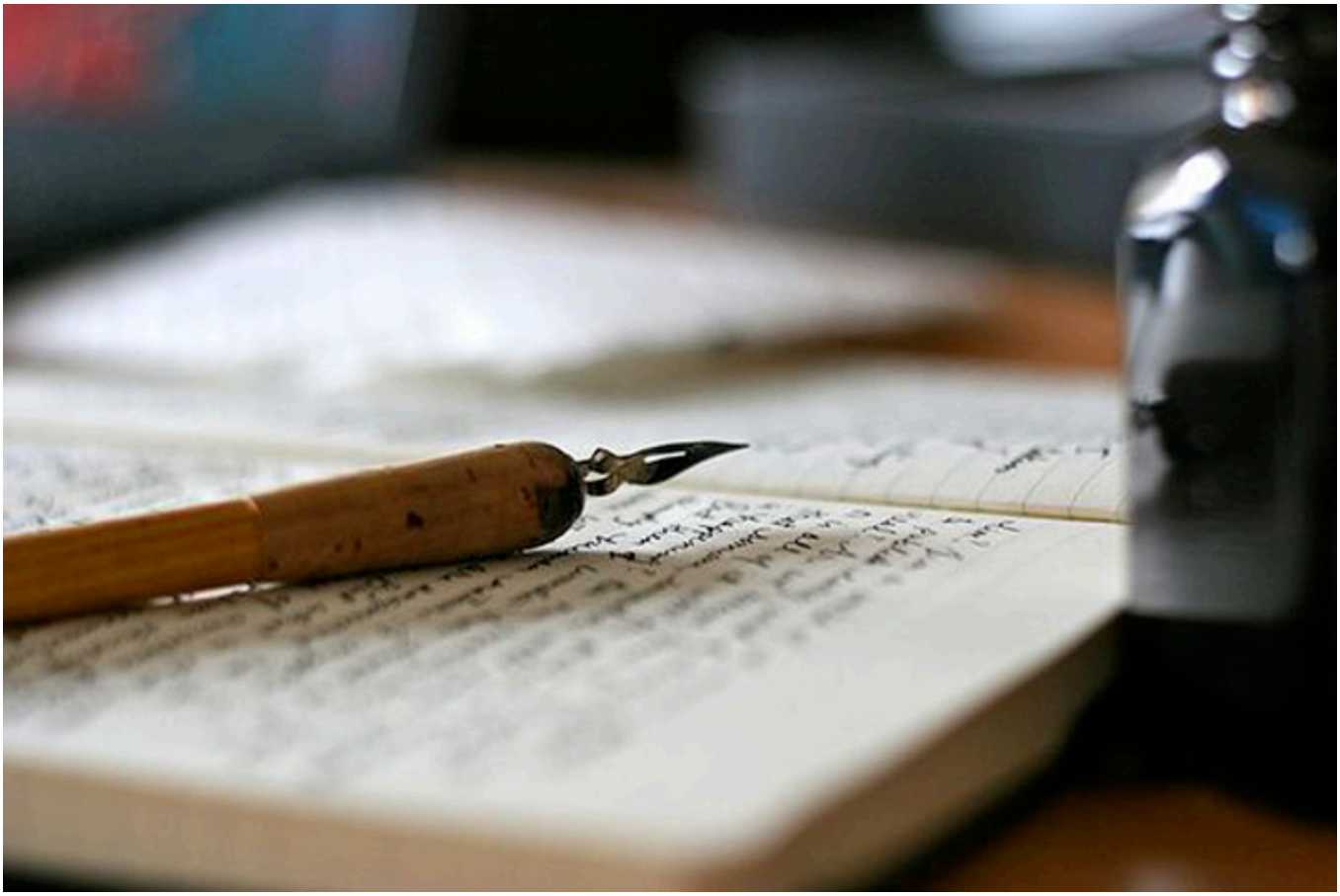
Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

JSG: Czym różniło się środowisko polonijne na Wyspach po wojnie od środowiska polonijnego w Kanadzie w latach późniejszych.

FŚ: Sądzę, że porównujemy tu sytuacje diametralnie różne. W przeciwieństwie do powojennego „polskiego” Londynu, w którym obserwowało się wysyp twórców, a jakość takich pism jak chociażby miesięcznik „Kultura” po dziś dzień nie została w Polsce osiągnięta, w prowincjonalnej Kanadzie skupisko polonijne, integrujące nowych imigrantów, z trudem próbowało w mało znanym środowisku znaleźć się gospodarczo, zakładało staroświeckie parafie i kontentowało się najprostszymi daniami kulturalnymi.

JSG: Ale po przyjeździe do Ontario, również rozpoczął Pan działalność kulturalną.

FŚ: W Kanadzie już w 1972 roku pomogłem założyć Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (mieliśmy m.in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitowałem 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London”, w lokalnej bibliotece czytałem poezję po polsku i po angielsku.



JSG: Po przejściu na akademicką emeryturę, przyjeżdżał Pan wiele razy do Polski, by uczyć literatury hiszpańskiej młodych Polaków. Mówił Pan kiedyś, że traktuje tę pracę, jak spłacanie długu wobec ojczyzny. Jaki dług miał Pan na myśli?

FŚ: Na obczyźnie zdobyłem kwalifikacje i praktykę pedagogiczną. Wykładałem Anglikom i Kanadyjczykom przez ponad czterdzieści lat. Zapragnąłem się podzielić wiedzą także z Polakami i dlatego poczułem, że lata po przejściu na emeryturę, które spędzam w Polsce, są dla mnie niespodziewanym dobrodziejstwem darowanym przez los. Udało mi się zetknąć z

setkami studentów nie tylko w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, ale także w Ostravie i Wilnie. Jestem po dziś dzień w kontakcie z niektórymi, jedną z byłych studentek z Wrocławia, odwiedziłem w Phoenix w Arizonie, a kariery innych śledzę, z niektórymi komputerowo współpracuję.

JSG: Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim młodym ludziom, którzy pragną tworzyć?

FŚ: Jeżeli człowiek nosi w sobie istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił.

JSG: Od wielu lat utrwala Pan historie związane z ludźmi twórczymi, o których powinno się pamiętać. Czym dla Pana

jest bogactwo kontaktów i więzi międzyludzkich?

FŚ: Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszczę, do Wenezueli – Przemysława Chróściechowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzego. Cieszę się też, że Jan Darowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich piszę przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem". Hasło nadal do zastosowania.

JSG: Stara się Pan, aby obraz przywoływanych postaci, który wyłania się z zakamarków pamięci był jak najbardziej prawdziwy.

FŚ: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże

znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Prowadząc aktywne życie zawodowe na polu nauki i kultury, a jednocześnie nie zaniedbując życia rodzinnego, jak udało się Panu znaleźć czas na własną, tak bogatą, nagradzaną twórczość literacką i translatorską?

FŚ: Twórczość jest darem. Mogło jej nie być, mogła być bardziej wybitna, bogatsza. Nie była moją główną aktywnością i nie odbywała się w próżni, ale w życiu dość dramatycznym, na obcych ziemiach, wśród różnych ludzi, w przyswojonych językach. Wybory nie były wolne, przypadkowość wymagała szczęścia. A w czasach spokojniejszych było zbyt wiele pokus, obowiązków, powinności, ciążeń, prób, ciekawości. I one tę twórczość wybierały i kształtowały, ograniczały i wzbogacały. W żadnym momencie nie było dane skupienie się na jednym, by rezultat był godny, miał wagę swoją i rangę, miał ciężar gatunkowy i klasę. Niekiedy musiała wystarczyć powierzchowność, muśnięcie, wspomnienie. Twórczość musiała się zadowolić marginesem, skradzioną chwilą, ułamkiem atencji. Brakowało fachowej krytyki, płynny był konsument, a ja unikałem doktrynerów. Starałem się stronić od wysmażania schematów konstruowanych wedle uczonych recept modnych

alchemików, radowały mnie spontaniczne podszepty rodzimego pióra zdumiewające nieraz piszącego. Te nieliczne bardziej udane teksty sprawiają niespodziankę. Do takich zaliczę przekład „Platero y yo” – „Srebroń i ja” Jimeneza, „Wyrocznię podręczną” Baltasara Graciana oraz „Historię o Abindarraezie i pięknej Haryfie” anonimowego autora. No i tuzin albo dwa wierszy.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w Londynie.

Wacław Liebert – literat i ekonomista



Florian Śmieja

Urodzony 23 IV 1902 r. w Moskwie, był synem inżyniera, społecznika i organizatora szkolnictwa polskiego dla uciekinierów czasu pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej, odznaczonego za swoje zasługi pośmiertnie krzyżem Polonia Restituta. W Moskwie spędził dzieciństwo i młode lata. Do Polski repatriował się mając lat osiemnaście. W Warszawie ukończył ekonomię na WSH. Pracował najpierw w zarządzie, a potem jako naczelny dyrektor założonej przez ojca fabryki wodomierzy i gazomierzy w Toruniu.

Kiedy Niemcy przejęli fabrykę, Liebert przeniósł się do Kielc, gdzie wraz z żoną, Wandą, należał do podziemia aż do końca

wojny. W 1945 r. na wniosek robotników wrócił do swojej, upaństwowionej już, fabryki na kierownicze stanowisko, ale prześladowany przez SB uszedł z rodziną w 1947 do Szwecji, gdzie m.in. pracował jako robotnik w fabryce tekstylnej. W 1951 r. przyjechał do Kanady, do Montrealu, a następnie do podtorontońskiego Bramalea. Do wieku emerytalnego pracował jako projektant.

Zmarł na raka, znoszonego przez lata z pogodą, 27 lipca 1993 roku. Pogrzeb odbył się w Mississaudze, ale prochy spoczęły w rodzinnym grobie w Warszawie.

W ankiecie wypełnionej niedługo przed śmiercią Liebert nazwał siebie ekonomistą i literatem. Po licznych artykułach politycznych na temat życia pod reżimem komunistycznym, drukowanych głównie w detroickim „Dzienniku Polskim", na tychże łamach zadebiutował powieścią „Piraci w bzach" oraz drukował opowiadania, których miał się stać mistrzem. Na konkursie Związku Aktorów Scen Polskich w Londynie w 1950 r. dramatem „Szkarłatna suknia" zdobył wyróżnienie. Był współpracownikiem londyńskich „Wiadomości", a pod koniec życia związał się z torontońskim tygodnikiem „Echo".

W Montrealu i Sydney grano jego sztukę „Tysiąc gorejących". Jest ponadto autorem komedii „Coca Cola". Większy rozgłos przyniósł mu dopiero tom wspomnień z Rosji „Wrony nad

Moskwą", wydany w 1974 r. przez londyński Polski Fundusz Kulturalny. Znajdziemy w nim plastyczne przedstawienie losów Polaków na tle ginącej Rosji carskiej i rodzącego się komunizmu. Z kolei napisał powieść „Ewidencja W.16" (Londyn 1981). Jest to rzecz o Chorwacie, nazwiskiem Hans Wittek, który stał na usługach gestapo i dał się we znaki polskim patriotom na Kielecczyźnie. Fragmenty karty ewidencyjnej protagonisty poprzedzają poszczególne rozdziały książki, które te dane rozszerzają i uzupełniają przytaczając dodatkową ewidencję wzbogaconą intuicją i fantazją autora respektującego ściśle wydarzenia okupacyjne z zachowaniem autentycznych nazwisk i sylwetek gestapowców, ich konfidentów oraz pseudonimów członków podziemia. Książka posiada sensacyjną fabułę, co sprawiło, że przedrukowana w Polsce przez wydawnictwo Volumen stała się bestsellerem.

Tom opowiadań „O miłości i tak dalej" (1982) został wyróżniony przez Ontario Arts Council. Wacław Iwaniuk z tej okazji nazwał autora „narratorem z Bożej łaski" podnosząc rozległość tematyki, jakość techniki pisarskiej oraz artystyczne osiągnięcia. Wyróżnił on szczególnie opowiadania z terenu Kanady jak „Bretnal" oraz „Złote runo", świetnie podpatrzone przejawy kompleksu roszczeniowego rodaków przyjeżdżających z PRL-u. Jego bohater, Duduś, jest przykładem człowieka zdemoralizowanego przez system komunistyczny, którego nie zmieni fakt przeniesienia się w inne miejsce. Liebert nazwał takich

osobników „mormonami”, czyli łapigroszami, od angielskiego *more money.*

Tom lekkiej, dowcipnej prozy zatytułowany „Byłe i niebyłe”, wydany nakładem tygodnika „Echo” (1990), cechuje również rozpiętość tematyczna: od obrazu ostatnich dni Stanisława Augusta w Grodnie, po historię przyjezdnej Polki wydającej się za majętnego emigranta, aby uśmiercić go poszatkowanymi włosami z własnego warkocza dodawanymi do jedzenia. Liebert pisał do końca życia meldując pracę nad sztuką (humorystycznym opowiadaniem) „Ogród szczęśliwości”. Zdołał ją ukończyć, mimo że praca szła mu opornie. Skarżył się na wzrok, a także na

> świadomość idealnej obojętności naszego społeczeństwa na wszystko, co nie jest produktem ich subkultury. A ta wydaje mi się obca i niezrozumiała. Czasem podejrzewam, że w ogóle jej braknie.

Rodzina była jego mocnym atutem. W żonie miał znakomitą towarzyszkę przygody literackiej, bo ona była jego najbliższą współpracowniczką, czytelniczką i korektorką.

Liebert, ekonomista, był przykładem profesjonalisty, który na innym polu, w tym wypadku literatury, ma równie solidne

osiągnięcia. Jego sztuki, powieści i opowiadania ukazują inwencję, łatwość operowania wymyślnymi wątkami, bogaty kalejdoskop kobiecych postaci, humor i doskonały język. Był urodzonym karykaturzystą. Wyznał kiedyś, że patrząc na ludzi przerysowuje ich „podkreślając śmieszności, ułomności czy głupotę, niezależnie z jakiej pochodzą sfery czy klasy społecznej". Tematyką swoją (nie licząc wycieczek w epokę jaskiniową czy czasy starożytnej Grecji) objął, posługując się wspomnieniami, obserwacją, a nawet pilnymi studiami obok śmiałych wzlotów fantazji, szmat ziemi na dwu kontynentach, od rewolucyjnej Rosji, okupowanej Polski, krajów europejskich po Kanadę. Dał świadectwo nie tylko temu, co zaszło dawno i wczoraj, ale co się dzieje dzisiaj, rejestrując zmieniające się stosunki i style życia na emigracji na styku emigracji wojennej i nowej, ekonomicznej.

Jak większość pisarzy emigracyjnych, niedoceniony i nieznany, znalazł przecież czytelnika i krytyka w Polsce, gdzie zainteresowano się jego teatrem, a oprócz „Wron nad Moskwą" na półkach księgarskich znalazła się „Ewidencja W.16". Wiadomości te radowały autora. Nie doczekał się wprawdzie wydania tam swoich opowiadań, ale pewien jestem, że to nastąpi w przyszłości. Liebert czas swój na obczyźnie rzetelnie okupił.

Powroty Jana Darowskiego



Londyn. Widok na pałac Westminster.

Irena Wyczółkowska

Sympatyczna niespodzianka: gruba koperta, a w niej książka: *Powroty. Wybór wierszy Jana Darowskiego,* opublikowana w Raciborzu w 2008 r. przez wydawnictwo Raciborskie Media. Do książki dołączono pismo „Brzeski Parafianin", które ukazuje się przy Parafii Rzymsko-Katolickiej św. Apostołów Mateusza i Macieja w Brzeziu nad Odrą – ofiarowany mi numer ma charakter okolicznościowy, jest bowiem w całości poświęcony pamięci poety, eseisty i tłumacza Jana Darowskiego, który urodził się w Brzeziu i tam również, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, został pochowany.

Pismo zawiera listy Darowskiego, wspomnienia o nim, słowa mówiące o jego dorobku jako autora świetnych przekładów literatury polskiej na język angielski, m.in. Miłosza, Herberta, Różewicza, Białoszewskiego, oraz dokonaniach poetyckich, wierszach pełnych goryczy – tych śmiałych i bezkompromisowych wypowiedziach o polskiej historii, o moralnych dylematach życia na obczyźnie. Najciekawszy w piśmie jest artykuł profesora Floriana Śmieji z Kanady, który przyjaźnił się z Darowskim od wielu lat, łączyły ich wspólne zainteresowania, praca w redakcji słynnych już dzisiaj pism polskiej emigracji „Merkuriusz" i „Kontynenty", gdzie, jak wspomina profesor Śmieja:

> [Darowski] wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną

> myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Profesor Śmieja napisał także wstęp, który opatruje pośmiertny wybór poezji Darowskiego. Treść i artykułu, i wstępu będzie nader istotna dla wszystkich, którzy cenią sobie lekturę uważną, wnikliwe poznawanie intencji poety, tajników jego artystycznego myślenia. Oba teksty nader plastycznie ukazują sytuację poety emigracyjnego, tu słowa Floriana Śmieji:

> twórcy bez czytelnika, tworzącego w obcym kraju, wśród nieswojego społeczeństwa.

Autor wstępu przytacza melancholijne stwierdzenie poety:

> Jeśli sam akt twórczy całkowicie nie spełnia i nie jest sam w sobie najlepszą nagrodą, wtedy gra nie warta świeczki.

Z tekstów towarzyszących wyborowi wierszy wyłania się sylwetka poety nie dość, że niebywale skromnego, to jeszcze o zaniżonym poczuciu własnej wartości, kogoś, który nader pesymistycznie postrzega pozycję poezji w racjonalnym i dalekim od uduchowienia świecie współczesnym.



Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja w Wilnie.

Chciałabym jeszcze dodać, że we wspomnianym piśmie parafialnym znajdują się także fragmenty prac maturalnych i dyplomowych omawiających poetycki dorobek Darowskiego. Jak to dobrze, że i na nie zwróciłam uwagę – wbrew często słyszanym biadoleniom, mądrzy są ci młodzi ludzie, wiele widzą i rozumieją, choć, wtrącę kąśliwie, nie zawsze piszą najsprawniej. Godne pochwały wydały mi się refleksje dziewczyny, która w obrazach przedstawianych przez Darowskiego dostrzega podobieństwo do wizerunku emigracji w epilogu do *Pana Tadeusza*. Bywają to wiersze, jak choćby głośny *Luksus*, wręcz okrutne, pisane z bólem. Oto ów wiersz, przyznacie Państwo, niezwykle przejmujący:

Co nas trzyma tutaj

wśród tych zręcznych kupców

sto tęsknot od domu

na bazarze wszystkiego pod słońcem

nic prócz krwi tu nie mogących sprzedać

nic prócz smutku kupić?

Luksus – wiadomo

Luksus patrzenia na rzeczy

luksus czasem dotykania rzeczy

i luksus mówienia

że są tym czym są

A nie tym co mówią

Oczy pełne strachu

lub doradza że lepiej by były

życiowy kompromis

> Luksus ciężko zarobiony
>
> krociem kalectw zapłacony
>
> i droższy niż życie

Zwolennicy kunsztownej zabawy poetyckiej, nowych przestrzeni stwarzanych przez wyobraźnię, finezji i elegancji na pewno nie staną się miłośnikami twórczości Darowskiego, być może wyda się im nawet jedynie moralizującą publicystyką. Ale to pisarstwo odwołuje się do nurtu, który w naszej literaturze miał swoje szlachetne tradycje, do epok, które wierzyły jeszcze w estetyczną kategorię wzniosłości, w misję poety – wrażliwego świadka i krytyka swoich czasów.

Muzyczne ciekawostki i refleksje



Florian Śmieja

Muzyka polska w Londynie połowy ostatniego wieku święciła swoje sporadyczne triumfy. Marian Nowakowski śpiewał przez kilka sezonów w operze Covent Garden, a Alfred Orda w Sadlers

Wells. Do sal koncertowych zaglądali Witold Małcużyński i Henryk Szeryng. Raz zjawił się Jan Kiepura z Martą Eggerth. Kiedy chłopak z Sosnowca starym zwyczajem z taksówki po koncercie zaczął podpisywać autografy na programach tłumu fanów, policja angielska spokojnie zaczęła mu pomagać podpisując także programy, by poszło szybciej.

***

Nie zapomnę odkrycia nazwiska Tekli Bądarzewskiej w angielskiej książce, w której obok Chopina reprezentowała muzykę polską. Człowiek ciągle się uczy. Z przyjemnością też słuchałem pieśni „The Yoeman's Wedding Song" granej często w radiu BBC autorstwa dotąd enigmatycznego księcia Józefa Michała Poniatowskiego, wnuka brata ostatniego króla polskiego, kompozytora i dyplomaty francuskiego.

***

Kiedy zamieszkałem przed laty w nowym domku na południu Londynu, odwiedził mnie pewnego dnia Jerzy Pietrkiewicz (1916-2007), mój szef z uczelni, w towarzystwie Andrzeja Panufnika (1914-1991), który pojawił się w Anglii i zaczął robić muzyczną karierę. Zapamiętałem, że wspomniał debiut u Mariana Hemara, ale uszły mi bliższe szczegóły. Teraz w autobiografii *Panufnik o sobie* wyczytałem, że mając 16 lat

skomponował fokstrot *„Ach, pardon”*, który Hemar, napisawszy słowa, włączył do swojej rewii, a Adolf Dymsza zaśpiewał. Na prezentację utworu autora jednak nie wpuszczono, gdyż nie miał 18 lat kwalifikujących do wstępu do teatru.

***

Jakże się cieszę z pojawienia się na scenie tenora Piotra Beczały. Nie tylko możemy go słuchać w programach amerykańskich oper, ale także z płyt, na których zaczął propagować polskie arie operowe, zupełnie w świecie nieznane. W repertuarze słowiańskich utworów, obok znanych już słuchaczom arii rosyjskich i czeskich, wprowadził polskie utwory, godne zaprezentowania cudzoziemcom.

Może jego przykład pobudzi z kolei polskich kompozytorów i dyrygentów, by pomogli lansować polską muzykę kameralną, która jest nieobecna w świecie. Pokazuje się zaledwie śladowo i nie znajduje zainteresowanych propagatorów, by słuchacze zagraniczni mogli poznać jeszcze inne utwory oprócz symfonii Góreckiego czy „Legendy” Henryka Wieniawskiego.

Czy będę nieodpowiedzialny winiąc polskich muzykologów i innych pracowników kultury za to, że przez całe życie byłem przekonany o tym, że nie istnieje polska muzyka kameralna, że byli rówieśnicy Chopina o znacznych osiągnięciach

kompozytorskich godnych słuchania i propagowania. Bo oto dzięki technologii i amerykańskiej wyszukiwarce google, „odkryłem” 2 koncerty fortepianowe Józefa Krogulskiego (1815-1842) i Ignacego Dobrzyńskiego (1807-1867). Znalazł się genialny skrzypek i kompozytor Karol Lipiński. Teraz wiem, że istnieje polska muzyka kameralna i że należy to samemu odkrywać i doceniać, że nie bardzo w tym rodacy są pomocni, ale spolegliwi cudzoziemcy. Przykładem może służyć Japończyk, który przyleciał do Warszawy i z archiwum wydobył pół tuzina kompozycji Tekli Bądarzewskiej, a myśmy przez półtora wieku kontentowali się znajomością jedynie „Modlitwy dziewicy”. Oba te „odkryte” koncerty dotąd mi nie znane, gdy pomyślimy, że zostały napisane przez 15 letniego chłopca i 17 latka, wprawiają w zdumienie. Są rewelacyjne. Dlaczego sami nie potrafimy ich propagować?

Dzięki google’owi słucham sobie barokowego kompozytora z mojej okolicy Grzegorza Gorczyckiego (1667-1734) i odświeżam łacinę. Dla towarzystwa dodaję symfonie i msze Józefa Elsnera oraz owiane tajemnicą melodie Józefa Zeidlera.